

Himalaje - Nepal - 2005 - Trekking.  
Odcinek 2. Namche Bazaar.

Namaste - znaczy witaj.

Zbliżamy się do **Namche Bazar** (3440). Stronne podejścia i przepastne zejścia.



**Namche Bazaar** to mekka himalaistów i wiele sklepików ze sportową odzieżą. Możesz kupić tu wszystko, co potrzebne do górskiej wspinaczki, a z racji tego, że nie działają tu polskie komórki, skorzystać również z telefonu i internetu. Telefon satelitarny i internet to jedyna możliwość kontaktu z Polską. Ceny wysokie, ale co tam ceny.



## Namche Bazaar.



Nepalczyki żyją głównie z turystyki. Uprawiają też małe poletka na skalistych półkach i tylko przyjezdni mogą w wymierny sposób podreperować ich budżet. Są skromni i zyczliwi.



W każdym możliwym miejscu wyrastają kolejne schroniska. Materiał robotnicy dźwigają na plecach.



W Namche śpimy jedną noc i udajemy się w dalszą drogę do Tengboche.



Podczas zazwyczaj 7-8 godzinnego trekkingu robiliśmy dwa postoje na posiłek i odpoczynek. Posiłek to duże słowo, ale byliśmy uprzedzeni, jakie są realia. Z oferty każdy mógł coś wybrać. Menu zawierało jaja pod wieloma postaciami, zupy warzywne i mięso z jaka, którego nikt z nas, zgodnie z zaleceniem Mariusza, nie tykał. Zresztą popatrz w jaki sposób jest transportowane do schroniska. Najważniejsze, że nigdy nie byliśmy głodni i humory mieliśmy szampańskie.





Mariusz już na początku trekku zaznaczył, że każdy idzie własnym tempem, oddycha swoim rytmem, odpoczywa w swoim czasie. On zazwyczaj szedł na początku, a Hiran grupę zamykał. Trasa była dla mnie ciężka i męcząca. Wychodziliśmy ze schroniska najpóźniej o 8 rano, a docieraliśmy na miejsce około 16-tej. Nie gnaliśmy na czas. Chcieliśmy nacieszyć oczy pięknymi widokami.



Czasami nie widziałam nikogo z grupy przed lub za sobą tak byliśmy rozciągnięci na trasie. Jednak dzięki indywidualnemu rytmowi marszu, nie mieliśmy wyrzutów sumienia, że ktoś chce iść szybciej, a inny wolniej. W wysokich górach nie ma mocnych, choć czwórka naszych chłopaków naprawdę miała krzepę.



Szerpowie to zazwyczaj młode i silne chłopaki. Jak gazy przemykali po szlaku, dźwigając na barkach kosze z ciężkimi plecakami. Przyjęta przez nich dzienna stawka 6\$, zakładała maksymalne obciążenie do 25 kg bagażu. Mój zawierał 16 kilogramów najważniejszych kłopotów, to może nie było im ciężko.



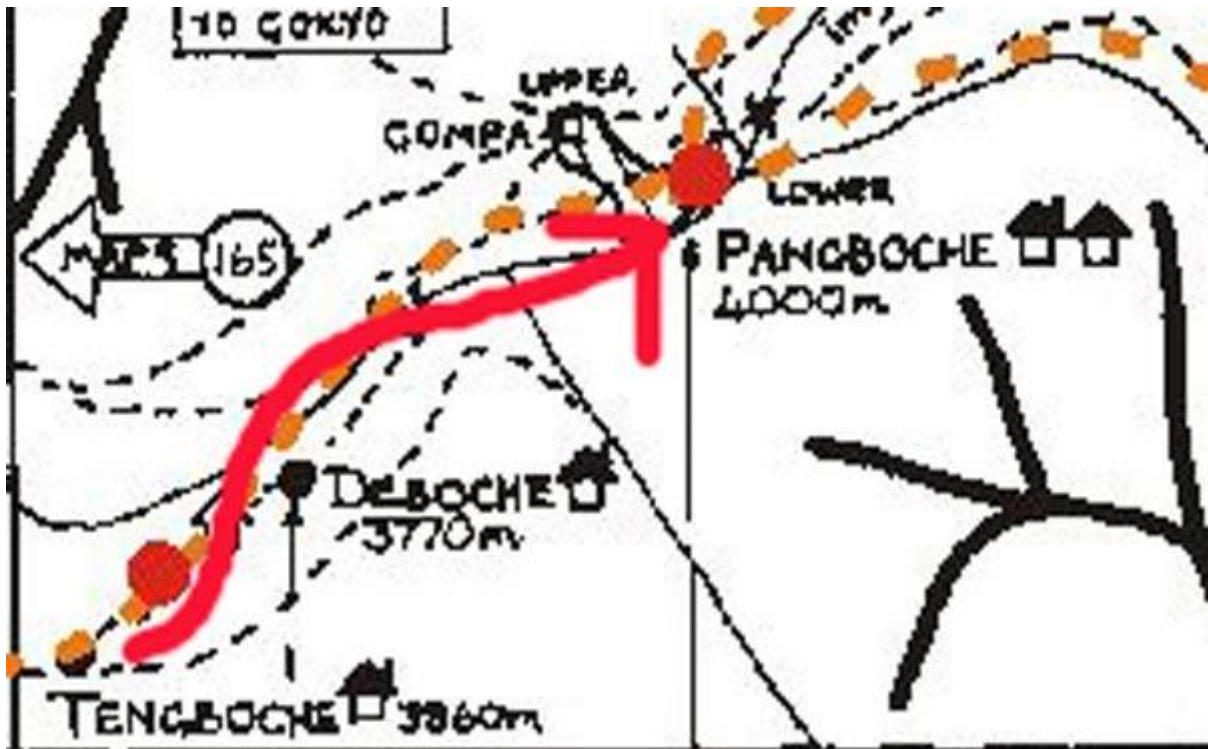


Jaki mają pierwszeństwo.





W kolejnym dniu pokonujemy trasę z Tengboche (3860), po czym zejdziemy deczko niżej do Deboche (3770), a celem jest Pangboche (4000).





Codziennie spaliśmy w innym schronisku, a najprzytulniejszym miejscem była w nim świetlica. Po południu gospodyni rozpałała w żelźniaku ogień, używając do tego wysuszone placki jaka albo drewno. Było ciepłutko. W tym jakże przytulnym miejscu spędzaliśmy wieczory na rozmowach i rozrywkach.



Poza świetlicą w schronisku panowały spartańskie warunki. Wiedzieliśmy jednak, że na nic więcej nie możemy liczyć. Bywało lepiej lub gorzej, w zależności od gospodarstwa i górskiej wysokości.



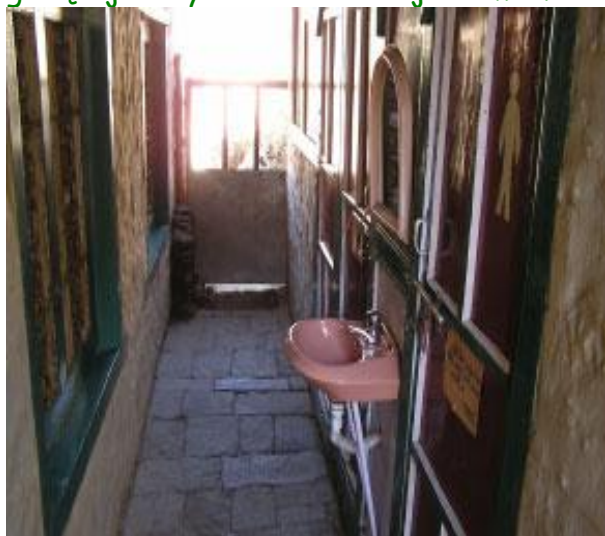
To jedna z ładniejszych kuchni na trasie. Tutaj ogień rozpalany był dwa razy dziennie, a wrzątek przechowywano w termosach.



A były też takie kuchnie. Im wyżej w góry tym skromniejsze warunki, bo trudniej zdobyć wodę.



Mylił się w takich jak ta umywalka, a kto chciał się wykąpać kupował wiadro gorącej wody i radził sobie jak umiał. Toalety podobne w każdym schronisku.



Komfortem było światło z 25 watomowej żarówki i toaleta wewnątrz schroniska. Najchłodniejsze były poranki i zapadające po 18-tej wieczory. Wtedy ziąb przeszywał nas na wskroś. Zakładaliśmy najcieplejszą odzież i rozgrzewaliśmy się imbirową herbatą - ginger tea.

W nocy temperatura gwałtownie spadała. Małe pokoje o cienkich ścianach były przesiąknięte chłodem. Na łóżkach rozkładaliśmy puchowe śpiwory i umęczeni całym dniem szybko zasypialiśmy.

To wszystko dało się wytrzymać. Wiedzieliśmy, że taki stan rzeczy to raptem kilkanaście dni. Ponadto byliśmy bardzo zmotywowani, wtedy można wiele znieść.

Ogrzewały nas wrażenia.



Kolejny świt i wymarsz z Pangboche (4000) do Dingboche (4350).



Wędrowaliśmy po wertepach, kamienistych półkach skalnych, trawersami, mijając kolejne szczyty. W dolinach wiły się szmaragdowe rzeki, które pokonywaliśmy po wiszących na stalowych linach mostach. Kołysały się w rytm naszych kroków. Szeptaly do mnie górskie strumyki z kryształową wodą. Czerwienił się berberys, komponując z bielą szczytów polską tu obecność.





Wokół mnie i Makara, bo zazwyczaj szliśmy w dwójkę, piętrzyły się 6-cio i 7-mio tysięczniki: Ama Dablam, Khumbu, Tamskerku. Nie tak wysokie jak ośmiotysięczniki: Everest, Makalu, Lhotse i Cho Oyu, które wkrótce mieliśmy zobaczyć, ale równie przepięknej urody. To niknęły, to pojawiały się na horyzoncie, to zerknęły jedna przez drugą.



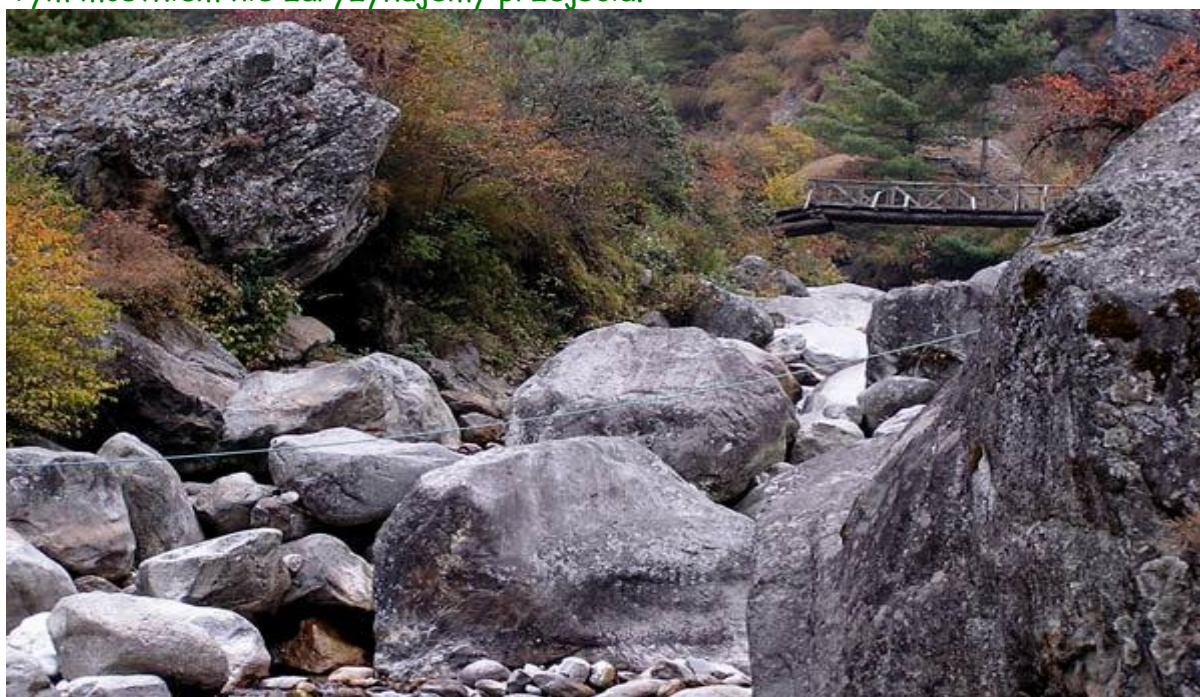




Uwaga, łatwo się poślizgnąć.



Tym mostkiem nie zaryzykujemy przejścia.



Zapalenie oskrzeli rozłożyło mnie po kilku dniach trekingu. Tengboche pamiętam jak za mgłą. Dotarłam tam półprzytomna, z gorączką i totalnym osłabieniem. Ale nie odpuszczałam i faszzerowałam się lekami. Przez kolejne dni pakowałam plecak i szłam dalej. Krok za krokiem, kamień po kamieniu, mosty, kładki, urwiska i polodowcowe głązy.



A kiedy docieraliśmy na kolejne noclegowe miejsce nie chciało nam się już nic robić oprócz spędzania czasu. Ciuchy mogliśmy dać do prania.



O kolejnych punktach trekku opowiem Ci w następnym odcinku.  
Z pozdrowieniem - Zielona Gałązka